



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Jan Kurek

## Droga do leśniczówki

Prosiłem Władka, by mi towarzyszył w drodze do Nadleśnictwa po zaświadczenie o odbyciu praktyki w lesie. Prawdę powiedziawszy to ja nigdy takiej praktyki nie odbyłem, ale cóż miałem robić. Musiałem liczyć na łut szczęścia, a może tylko na przychyłność administratora. Pan Rudeński, nadleśniczy, był z wyglądu osobą bardzo sympatyczną, a może to tylko pozory. Po raz pierwszy miałem przyjemność go spotkać w gabinecie dentystycznym. Jego żona była dentystką i plombowałem właśnie u niej zęby. Obawa i trema przed tym spotkaniem była w pewnym sensie uzasadniona, tym bardziej, że moja prośba nie mogła być poparta wiarygodnym dokumentem, czy też zeznaniem świadka. Na wszelki wypadek umówiłem się z Władkiem, ażeby poświadczył zasadność moich słów – jeżeli nadleśniczy będzie tego żądał. Wziąłem jednak na odwagę i postanowiłem – dziś albo nigdy. Od powodzenia tej wyprawy, którą od kilku dni odkładałem, zależała moja przyszłość. Władek był dla mnie podporą w trudnych sytuacjach wymagający psychicznego i moralnego wsparcia. Nie mogłem zrezygnować z jego obecności i dlatego wtajemniczyłem go w moje poczynania, jakkolwiek w razie wolałbym, aby nikt o tym nie wiedział.

Obawy i zachowania moje były ponad miarę asekuracyjne. Zupełnie niepotrzebnie byłem tak ostrożny i spięty. Skrzypiące drewniane schody, prowadzące do wnętrza budynku po stronie zewnętrznej, świadczyły o skromności administratora gospodarstwa leśnego. Zasoby tegoż nadleśnictwa były ogromne, a przede wszystkim wartościowa i wysoce ceniona lubaczowska sosna. Eksploatacja lasów w tych rejonach w okresie okupacji niemieckiej była w miarę oszczędna, a także zabiegi pielęgnacyjne i odnowieniowe prowadzono jak na warunki wojenne racjonalnie. Nie można było tego powiedzieć o okupacji sowieckiej, z którą zetknąłem się wcześniej. Przykładem bezmyślnego niszczenia lasów były Niwki, gdzie stacjonowały dywizje wojsk sowieckich. Wyrąbывano całe połacie lasów bez względu na wiek drzewostanu. Budowano z bali ściętych drzew ziemianki oraz drogi. Stanem sanitarnym lub odnowieniem wcale się nie zajmowano, natomiast gajowych i leśniczych traktowano jako wrogów ludu.

Wchodząc do przestronnego korytarza dostrzegłem na ścianach gabloty wypełnione różnymi przedstawicielami świata owadziego. Zauważyłem, że las poza człowiekiem ma mnóstwo różnego rodzaju szkodników. Człowiek jednak działa w sposób dwojaki – najpierw niszczy, a potem próbuje odbudować. Ja też do tej funkcji się przymierzałem.

Kiedy pukałem do drzwi nadleśniczego moja trema jakby opadła. Doszedłem do słusznego wniosku, że właściwie nic nie mam do stracenia. Zostałem przyjęty bardzo życzliwie i ze zrozumieniem. Ukartowałem sobie wcześniej sposób uzasadniający moją prośbę. W moim odczuciu powiedziałem

bardzo naiwnie, że tak bardzo chciałbym w przyszłości zostać leśniczym, ale najpierw muszę się dostać do gimnazjum leśnego w Żywcu.

\* \* \*

Wróć jednak do wspomnień z ostatnich lat okupacji – najpierw sowieckiej, a później niemieckiej. Były to czasy wielkiej i nieustannej udręki oraz niepewności jutra. Sowietci wciąż grozili wywózką na Sybir i niechybnie by do tego doszło. Na szczęście dla nas 22 czerwca 1941 roku Niemcy napadli na ZSRR.

W pierwszym roku okupacji obeszły nas jak wszy bataliony ruskiej piechoty, zakwaterowanej w domach do granic ludzkiej wytrzymałości. Mieszkaliśmy blisko linii granicznej dzielącej Niemców i Rosjan po zajęciu Polski. Dwa kilometry od naszego osiedla w lesie Niwki stacjonował pułk artylerii sowieckiej. Owego ranka natarcie niemieckie właśnie na ten las skierowało całą nawałę ognia. Las w czasie ataku przedstawiał apokaliptyczny widok. Wskutek wybuchów pocisków i zrzuconych bomb lotniczych fontanny ziemi, drzewa, konie i ludzie – wszystko to razem leciało w górę, a następnie ze zgrzytem opadało na ziemię. Widowisko przerażające, dlatego postanowiliśmy – każdy na swój sposób – uciekać byle dalej. Uciekaliśmy nie razem, lecz rozproszeni. Według rozsądnej zasady, że ktoś z nas ocaleje, nie wszyscy zginiemy. Samotnie pędziłem przed siebie, ciężko wystraszony, z parą butów zawieszonych na kiju. Najbardziej rozsądnie – jak się później okazało – zachował się nasz ojciec. Pozostał na miejscu i całe natarcie przesiedział w ogrodzie. Pod starą, rozłożystą gruszą. Biegając przed siebie zauważyłem siedzących w krzakach kilku sowieckich żołnierzy. Jeden z nich miał świeżo urwaną rękę. Bardzo krzyczał i wymachiwał nie dając sobie jej zabandażować. Ten widok okropnie mnie przeraził. Myślałem, że zemdleję.

Dotarłem do błonia koło siedliska Brozia, gdzie zebrało się mnóstwo cywilów z licznymi konnymi zaprzęgami. Usłyszałem w powietrzu charakterystyczny gwizd, a tuż po nim łomot i fontannę ziemi w samym centrum zbiegowiska. Zginęło zapewne wielu ludzi, ale ja już tego nie oglądałem. Wszyscy w trudnej do opisanego panice wzajemnie się deptali, wpadali pod pędzące zaprzęgi konne. Porwany falą uciekinierów dałem się ponieść w kierunku Grobli – wioski położonej parę kilometrów za lasem. Na Grobli panowali już niepodzielnie Niemcy.

Po południu wszystko wracało do domu. Dla nas wojna się skończyła. W ogrodzie i na podwórzu stały już prowizoryczne sanitariaty, toalety, wokół pachniało mydłem i wodą kolońską. W pierwszych dniach lipca Niemcy przy pomocy ukraińskich nacjonalistów dokonali licznych aresztowań polskiej inteligencji, głównie nauczycieli i pracowników administracji. Były to niedobitki tych, których Sowietci nie zdążyli wywieźć na Sybir. Wśród około stu aresztowanych znaleźli się dwaj bardzo bliscy nam ludzie – kierownik szkoły Piotr Łukasiewicz i sekretarz gminy Józef Joniec. Po kilku dniach nieludzkich tortur w więziennych kazamatach, bez jedzenia i wody, grupami wywiezieni zostali do lasu na Niwkach i tam rozstrzelani. Na miejsce kaźni wybrano małą śródleśną polanę, osłoniętą szczelnie krzakami. Oprawcy tego zbrodniczego czynu byli członkami granatowej ukraińskiej policji, rekrutującej się z organizacji UPA.

Były to wydarzenia przygnębiające, tłumiące resztę nadziei, która ze wszystkim jakby umarła. Niebawem odczuliśmy z większym nasileniem akcje eksterminacyjne organizacji UPA na ludności polskiej. Łuny pożarów każdej niemal nocy palonych osiedli i wsi polskich przerażały nas. Czekaliśmy, kiedy i nas to spotka. Żadnej nocy nie spaliliśmy w domu, lecz w kryjówkach naprędce przygotowanych w ogrodach, w piwnicach i szopach. Nie stanowiły one jednak bezpiecznego schronienia w razie pożaru. Mogliśmy żywcem spłonąć, bowiem ucieczka w razie napadu i podpalenia kończyła się zazwyczaj męczeńską śmiercią. Nasza kolonia ocalała dzięki temu, że mieliśmy korzystne położenie obronne, a poza tym Ukraińcy wiedzieli o dość dobrze zorganizowanej i wyposażonej w broń organizacji AK-owskiej. Nieraz o świcie budziłem się z powodu jakiegoś ruchu, stukotu kół wozu na podwórzu. Widziałem przez szparę ściany swojej kryjówki parę koni pokrytych pianą ze zmęczenia. Później dowiedziałem się, że tymi końmi przywożono broń i amunicję.

Dlaczego określam mianem kolonii nasze osiedle? Dlatego, że była to rzeczywiście kolonia niemiecka o nazwie Felsendorf, czyli Skalna Wieś, licząca 28 numerów. Polacy pochodzili głównie z terenów Rozwadowa, Niska i Przeworska, a gospodarstwa odkupili od tutejszych Niemców. Do wybuchu wojny z kolonistami niemieckimi pozostało dwóch: Schelenberg i Koch. Pod koniec 1939 roku, kiedy tereny te do linii Sanu zajęli Sowietci, wyjechali oni do Reichu.

Nie dotrwaliśmy do końca wojny na swoim, ponieważ presja ukraińska i zagrożenie z ich strony było ogromne. Pozostając na miejscu ryzykowaliśmy życiem. Pewnego popołudnia zjawiał się na rowerze aktywny bojownik UPA i wręczał po kolei wszystkim gospodarzom kartki z żądaniem natychmiastowego wyjazdu za San. Następnego dnia nie było już odważnych do stawiania oporu. Mój ojciec, jak i wielu innych zaprzęgał konie do wozu i zabrał trochę swojego dobytku. Opuszczaliśmy w smutku swoje domostwa z nadzieją, że kiedyś tu powrócimy. Reszta uciekinierów, a więc kobiety, dzieci

i młodzież z tłumoczkami na plecach udała się na dworzec kolejowy w Lubaczowie, by stamtąd wyjechać do Przeworska i dalej. Podróż koleją w owym czasie była w miarę bezpieczna. Ja natomiast po przespaniu nocy u państwa Szafrąskich, skoro świt, wróciłem do domu i ryzykując bardzo wiele zabrałem z obory jedną krowę. Miałem wówczas 13 lat i dlatego nie zdawałem sobie sprawy z ryzyka, jakiego się podjąłem. Przede mną dwa dni wędrówki przez zupełnie mi nieznane drogi i bezdroża, pełne ukraińskich band, które rabowały i bezlitośnie mordowały każdego napotkanego Polaka. Miałem ze sobą tylko półlitrowy garnuszek, przytroczony do paska u spodni i kij w rękę. To było całe moje wyposażenie na drogę. Najbardziej bałem się czekającej mnie wędrówki przez niekończące się lasy załapowskie, w których dokonywano licznych napadów, z których niewielu wychodziło cało.

Krowa szła bardzo opornie, często kładła się na odpoczynek w rowie. Po kilku godzinach marszu dotarłem do mostu łączącego dwa brzegi Sanu pod Jarosławiem. Bardzo chciałem przekroczyć tę linię demarkacyjną. Czułbym się bezpieczniej po drugiej stronie. I nagle, ku mojemu przerażeniu, w promieniach zachodzącego słońca zjawił się przede mną patrol niemieckiej żandarmerii. Kazali się wrócić. Szło ze mną dwóch przynaglających do pośpiechu. Zaprowadzono mnie na plac targowy i zamknięto w szopie razem z krową. Poczulem głód, chciałem coś zjeść, ale co? Doilem krowę do garnuszka, który miałem przy sobie, gdy otworzyły się drzwi szopy i weszła jakaś kobieta. Była to przypuszczalnie żona dozorca. Spytała czy nie jestem głodny. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że jadłem wczoraj. Po chwili przyniosła kromkę chleba i większy garnek, do którego sama wydoiła krowę. Zjadłem chleb popijając mlekiem i poczułem się znacznie lepiej. Nie znalazłem jednak spokoju. Zacząłem planować ucieczkę. Na polu szarzało, dozorca na pewno spał. Bo i kogo miał pilnować, biednego chłopaczynę z krową? Zrobiłem dziurę w płocie, oderwałem kilka sztachet i przejście było gotowe. Byłem uratowany, ale jeszcze niezupełnie. Przede mną ten drugi most na Sanie – czy znowu nie spotkam patrolujących żandarmów? Nie miałem innego wyjścia, ponieważ przejście przez rzekę poniżej mostu było zbyt ryzykowne. Przeżegnałem się na moście i poszedłem z duszą na ramieniu. Udało się – przeszedłem. Napięcie opadło, poczułem się wolny i bardziej odważny. Mijałem już wiadukt, gdy naprzeciwko zobaczyłem dwóch żandarmów. Omdlały nogi pode mną. Żandarmi poszli przodem, a mnie kazali iść za nimi. Zacząłem uciekać i znów się udało, bo tamci zrezygnowali z pościgu. Uciekałem pomiędzy domy małymi, wąskimi uliczkami i zupełnie się zagubiłem. Nie wiedziałem gdzie jestem. Krowa wyraźnie okulała na przednie nogi, musiałem więc prowadzić ją ryszotkiem lub przy samym ogrodzeniu po miękkiej nawierzchni. Była to wczesna pora, przed świtem i na ulicach nie było nikogo, bym mógł zapytać o drogę. Zobaczyłem dwie wieże kościoła Najświętszej Marii Panny, a słyszałem, że stoi on przy głównym trakcie prowadzącym w kierunku Przeworska.

Absolutny spokój i cisza przedmieść Jarosławia budziły we mnie strach i niepewność. Po dłuższym kluczeniu trafiłem na właściwą drogę. Wyszedłem już daleko poza granice Jarosławia i nagle z jednej furmanki jadącej w przeciwnym kierunku zeskoczył mój ojciec. Dobiegł do mnie i obejmując rozplakał się. Płakaliśmy obaj, nic nie mówiąc do siebie.

Ranne mgły opadły, wyjrzało słońce. Wędrowaliśmy wśród pól, na skróty, by prędzej znaleźć się w nowym miejscu na wygnaniu – dla mnie nieznanym. Jak to dobrze iść tak swobodnie, bez strachu. Zupełne odprężenie po ostatnich przeżyciach. Nareszcie około południa dotarliśmy do Mirocina, gdzie gospodarował nasz kuzyn Wincenty. Dom i zabudowania gospodarcze miał skromne i nie skończone, bo zaczął budowę przed wojną. Ulokowano nas w stodole razem z końmi. Krowa dostała lepsze pomieszczenie, bo dawała mleko. Ściany stodoły były nieszczelne, odczuwaliśmy przeciągi, a kiedy dął silny wiatr warunki były raczej nieznośne. Ociepliliśmy ściany snopkami słomy, której też nie było wiele. Wdzięczni byliśmy za dość dobre jedzenie gotowane przez Wincentową. Niemal codzienne maślanka z ziemniakami oraz fasola przypiekana na tłuszczu w piekarniku, co szczególnie nam smakowało, a że spanie w stodole – no cóż, jedni mieli może lepiej, a może gorzej.

Gospodarze nie dali nam się nudzić. Zaraz po śniadaniu braliśmy motyki i w pole do pielenia buraków cukrowych. Nie lubiłem tej roboty, byłem wściekły i łamałem często motykę, co umożliwiało przerwę w robocie na zrobienie nowej. Wincenty przejrzał moją sztuczkę i zawsze brał ze sobą zapasową. Nocą musiałem chodzić do pana Bębenka kraść koniczynę dla naszych koni. Dźwigałem na plecach duże i bardzo ciężkie wiązki zielonej, nasyczonej rosą koniczyny. Najbezpieczniej czułem się w noc deszczową, ale ładunek był wtedy dwa razy cięższy. Ojciec nie mógł patrzeć na moje poczynania, nie mógł mnie także wyręczać. Było to zajęcie i niebezpieczne i niemoralne, jednak w walce o przetrwanie uzasadnione. Widziałem zmartwioną i uwięzioną twarz ojca, który ze smutkiem i rezygnacją musiał akceptować ten stan rzeczy.

Po miesiącu takiej udręki znalazłem sensowne rozwiązanie. Opuściliśmy gościnny dom Wincentów i z całym dobytkiem przyjęto nas u dalekiej krewnej, Pieczkowej w miejscowości Maćkówka, kilka kilometrów za Przeworskiem. Był to dla nas dobry przytułek. Nareszcie cała rodzina mogła się tam bez trudu spotkać i bez skrupowania opowiadać o swoich przeżyciach oraz snuć plany powrotu w nasze strony, bowiem front wschodni przybliżał się coraz bardziej. Nasilały się powietrzne walki lotnictwa, które z ciekawością i napięciem obserwowałem. W godzinach rannych, przy dobrej pogodzie, na dużej

wysokości, ledwie dostrzegalne, krążyły zazwyczaj trzy rosyjskie „Instrubitele”. Niebawem znacznie niżej nadlatywała eskadra bombowa niemieckiej Luftwaffe w towarzystwie kilku myśliwców. Rosjanie spadali na nich i po każdym ataku rozbijali szyki hitlerowców. Niemcy za każdym razem ponosili straty. Dla obserwatora ta sceneria walki była fascynująca, jednak na wszelki wypadek należało mieć upatrzone schron, bowiem spadający bombowiec z ładunkiem bomb stwarzał poważne zagrożenie – jakkolwiek bomby nie zawsze wybuchały.

Rozbrajaniem zrzuconych bomb zajmowały się małolaty. Ja też w tym uczestniczyłem. Po wykręceniu detonatora wyciągali ekrazyt w kształcie rurek, podobnych do makaronu. Rurki włożone do ogniska wywoływały wspaniałe fajerwerki, zabawa była przednia. Było to jednak zajęcie bardzo niebezpieczne. W ten właśnie sposób zginęło w naszym sąsiedztwie czterech chłopców i jeden starszy mężczyzna.

Nareszcie pojawiły się pojedyncze sowieckie patrole. Resztki Niemców uciekały w popłochu. Ktoś z sąsiadów oznajmił, że czas ruszyć do cukrowni. To był sygnał do natarcia. Staszek Wołowicz, mój najlepszy z tamtych czasów kolega, stał z workiem na ulicy i ponaglał mnie. Kiedy znaleźliśmy się pod cukrownią, było tam już sporo ludzi, obok olbrzymiej kadzi z marmoladą. Produkt ten w ostatnich latach był prawie niedostępny. Tłum ruszył z wiadrami na kadź i napierając wepchnął Staszka w tę rzadką marmoladę. Oblepiony tą masą wyglądał jak monstrum oblizujące wargi. Najadł się tej mazi za wszystkie czasy, a mnie chwyciły kolki ze śmiechu. Na piętrze leżały dosłownie góry cukru, a w nim mrowie ludzi upychających worki, buty i kieszenie. Człowiek w obliczu takiego darmowego bogactwa traci rozsądek i poczucie rzeczywistości. Naładowałem cukru pełną poszewkę z poduszki, a potem nie mogłem jej dźwignąć. Niestety poszewka w połowie pękła i cukier wysypał się na podłogę. Chciało mi się płakać, ale ocenilem w mig sytuację, zebrałem połowę z tego i zszedłem na dół. Rwetes i wrzask nieopisany, słychać zewsząd strzały, weszli Sowietci. Wypędzili ludzi, a cukier i całą resztę zabrali dla wojska. Znalazłem Staszka – wyglądał okropnie z workiem cukru na plecach, a nad nim roje much. Uciekliśmy z terenu cukrowni, bo było tam coraz bardziej niebezpiecznie. Nie mogłem sobie darować, że wzięłem taki słaby worek.

Na drugi dzień emocje frontowe opadły. Rosły nadzieje na szybki powrót do domu. Należało najpierw oswoić się trochę z nowymi przybyszami. Dla nas nie była to nowość, mieliśmy okazję poznać ich w pierwszych latach okupacji. Na krótko przed wejściem Rosjan cofająca się jednostka niemiecka przez kilka dni stacjonowała w Przeworsku. Oficerowie niemieccy pokazywali nam mnóstwo zdjęć z grobów w Katyniu. Objaśniali nam wszystko – kto i kiedy dokonał tej zbrodni na Polakach.

Nieodparta chęć powrotu do domu, tęsknota za wszystkim co tam zostało, uwierala coraz bardziej. Sąsiedzi schodzili się i radzili wzajemnie, czy już ruszać czy też jeszcze trochę poczekać. Wszyscy sądzili zgodnie, że po przejściu frontu i wkroczeniu Rosjan, ze strony UPA nic nie może nam zagrażać. Jak bardzo się mylili – wkrótce mieli się przekonać...